

Wielki płacz Polaków

29 kwietnia 2010

Żałoba narodowa, czas patriotycznego doświadczenia. Jedynie to?

O żałobie narodowej po tragedii smoleńskiej powiedziano już wiele. Mądrze i głupio, wzniośle i przyziemnie. Patriotycznie, politycznie i cynicznie. O rządach trumien i polskim nierzędzie, o medialnych woltach, wierności i pogardzie. Generalnie, całe doświadczenie opisywano w kategoriach przywracania świadomości narodowej, dobra wspólnego, państwowości lub wspomnianej „traumy trumiennej”. Był też dyskurs o modernizacji i tożsamości, o jedności Polaków i jej braku, o tym, komu wolno nazywać się patriotą, a kto się czuje pozbawiony tego prawa. Była dyskusja o pochówku na Wawelu i wspominki szanownego redaktora Stasińskiego o „mrocznych pasjach” prof. Krasnodębskiego i Andrzeja Gwiazdy. Było o Prawie i Sprawiedliwości, Platformie Obywatelskiej, Tusku, Komorowskim i Putinie. Było o teoriach spiskowych i było wezwanie ponadnarodowe: „miłujmy się!”. Było nawet o islandzkim wulkanie i o tym, że Obama gra w golfa. Wszystko było? Prawie wszystko.

Ale coś chyba umknęło. Coś, co zdaje się nieźle opisuje współczesnych Polaków i ich dzisiejsze bolączki. Coś, co można nazwać prawem do smutku i łez, do boleści, do przeżywania tego w sposób mądry, pogłębiony, we wspólnocie. Nie oszukujmy się, kultura masowa jest kulturą niezakorzenia, kulturą płytką, opisującą świat w sposób trywialny, często niemal fizjologiczny. A z pewnością jest kulturą, która zagadnienia związane ze śmiercią, cierpieniem i krzywdą stara się odgonić jak najdalej od siebie. Przegonić precz, by nawiązać do tytułu znakomitej książki Filipa Aries. Bo zgodnie ze swoim przeznaczeniem służy zabawie, rozrywce, tym błaznom – przeganiaczom nudy. Ból i płacz mają do niej dostęp przede wszystkim w formach perwersyjnych, cynicznych, czyli takich,

które stworzą w odbiorcy raczej dystans niż współczucie, raczej zaciekawienie niż żal.

I jeszcze jedno: świat nie nastraja nas do publicznego ukazywania cierpienia i żałoby. To nawet logiczne i konieczne. Ekshibicjonizm, obnoszenie się z bólem, nieustanne ukazywanie bliźnim bolesnej twarzy jest zjawiskiem chorobliwym. Z drugiej jednak strony, obecny stan rzeczy pokazuje, że współczesny Polak jest w swoich problemach osamotniony (rosnąca liczba samobójstw w Polsce, szczególnie wśród mężczyzn!), że nie znajduje oparcia w innych i że poddał się presji milczenia o własnych kłopotach. Bo te są oznaką słabości, bo brak intymnych więzi, bo płytką kultura sprzyja płytczości relacji itd., itp. Jednym zdaniem: jeśli cierpisz, cierp samotnie, w czterech ścianach. Bo każdy ma swoje smutki i problemy, więc co kogo obchodzi twój ból. Poza tym, jeśli cierpisz, to może masz poważne problemy i nie nadajesz się do pracy? Może zatruwasz atmosferę? Może powinieneś się leczyć? Może powinieneś usunąć się na margines społeczeństwa? Może nie radzisz sobie w życiu, więc jesteś nieproduktywny i zbędny? A jeśli nikt cię nie potrzebuje i jesteś nieprzydatny ludziom, to po cholere zawracasz światu głowę swoim istnieniem?

I trudno wyrokować w tym miejscu, ale ta samotność wśród ludzi, gdy każdy gnębiony własnymi strapieniami siedzi milcząco w metrze, tramwaju, autobusie, gdy wybucha nagłym gniewem, stojąc w korku, wydaje się być niezłym, choć prozaicznym podsumowaniem wyobcowania społecznego, atomizacji, braku więzi i możliwości wsparcia ze strony innych. Logika kulturowego indywidualizmu, opakowana w ładną bajeczkę o szczęśliwej samorealizacji i drodze od sukcesu do sukcesu (jakby życie nie kończyło się starością i śmiercią, a starość zawsze wygląda tak ładnie, jak na reklamach Werthers Original czy pigułek przeciwbólowych), logika wsparta przez ekonomiczny darwinizm i filozofię „radź sobie sam”, „śmierć frajerom!”, stojąca w sprzeczności z ideą wspólnoty, dobra wspólnego, oto groźby większe niż polityczne szturchańce. Straszniejsze niż

świński ryj posła Palikota.

I oto w czasie żałoby narodowej okazało się, podobnie jak przed pięcioma laty, że o cierpieniu nie trzeba wcale mówić po cichu, do ucha, półsłówkami, nadrabiając miną. Że można płakać, smucić się, można głośno i szczerze o tym mówić. Można przeżywać cierpienie w sposób godny, bez hysterii, ale i bez cynizmu, że można czuć, doświadczać strachu, bóleści, poczucia krzywdy i straty. Że można płakać nad innymi, ale też i nad sobą. Bo żywi, płacząc po zmarłych, boleją także nad własną stratą, nad własnymi biedami. I w tych łzach, goryczy, czasem także gniewie chyba najwięcej było oczyszczenia duszy. Wszak, podobnie jak w greckiej tragedii, i ta smoleńska, chcąc nie chcąc, przynosiła katharsis. Dała możliwość powiedzenia prawdy o sobie i otaczającym świecie. O własnej bezsilności i bezradności. To było widać w tych rozmowach na Krakowskim Przedmieściu, nawet gdy pozornie dotyczyły wyłącznie spraw wielkich i wzniosłych. Ta wspólnota odbudowywała się na łzach i przyznaniu się do ludzkich uczuć, innych niż (błazeński) śmiech, innych niż licytowanie się o prestiż i majątek, innych niż rozrywka. Bo wspólnotę mogą budować jedynie ludzie, nie istoty sprowadzone do swoich społecznych i rynkowych ról. I nagle okazuje się, że ten człowiek stojący obok mnie, w smutku i zatroskaniu, wcale nie jest obcy. Nie jest moim wrogiem, nie czyha na moje mienie, ani ciało, ani życie.

Tak, to była żałoba narodowa. Wielki płacz Polaków nad sobą. Czy wysmarkawszy nosy, każdy wróci do siebie?

Autor: Krzysztof Wołodźko

Źródło: [Obywatel](#)